Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 16 (390). *WARSZAWA, 16 sierpnia 1927 r.* *ROK XX*



KONTO ZWIĄZKU P. K. O. 8082. **ADRES: NOWY-ŚWIAT 35.** **TELEFON 7-98**

O fotografje myśliwskie.

Przed mającem nastąpić w dniu 1 października r. b. przekształceniem „Łowca Polskiego" na tygodnik, wskutek czego redakcja będzie miała więcej miejsca na zamieszczanie klisz fotograficznych, — zwracamy się do swych Przyjaciół — Czytelników z prośbą o nadsyłanie wszelkich zdjęć fotograficznych, mających związek z myślistwem.

Pożądane byłoby załączanie do fotografji szczegółowego opisu warunków, wśród jakich zdjęcie zostało dokonane.

Myśliwy i jego pismo.

(Jak jest u Niemców?)

W niedawno wydrukowanym w „Łowcu Polskim" artykule o znaczeniu prasy łowieckiej dla myśliwca polskiego, wzmiankowaliśmy mimochodem o pracy niemieckiej na ten temat, zamieszczonej na naczelnem miejscu w „Wild und Hund", zapowiadając jej streszczenie w naszem piśmie. Wywiązujemy się teraz z tego zadania dla nas aktualnego ze względu na zbliżający się termin przekształcenia polskiego dwutygodnika łowieckiego na pismo tygodniowe.

Temat to szczególnie dla nas interesujący wobec tego, że Niemcy w porównaniu z nami mają idealnie rozwinięte piśmiennictwo łowieckie, a jednak nie są całkowicie zadowoleni, bo dążą do dalszego rozwoju.

Autor zaznacza na wstępie ogromny wpływ, jaki gazety łowieckie w Niemczech wywarły na ukształtowanie się łowiectwa, grając w życiu prawidłowego myśliwego rolę najwybitniejszą. Niemcy już w dziecięcym wieku delektują się gazetami specjalnie myśliwskiemi. Z niecierpliwością oczekują zjawienia się każdego nowego numeru, czytając wszystko, co w nim jest zawarte, od deski do deski.

Rozbrzmiewa tam hasło: Bez pisma łowieckiego niemasz prawidłowego myślistwa! Ideałem zaś, do którego dążą, jest, aby nie było myśliwego, któryby nie czytał pisma łowieckiego.

W związku z tem mamy trochę danych statystycznych:

W Prusach wydano w roku 1926-ym 206.000 kart łowieckich. W całej zaś Rzeszy niemieckiej — 350.000. Nakład zaś wszystkich wybitniejszych pism łowieckich w Niemczech wynosi około 100.000 egzemplarzy. Mowa tu tylko o wybitniejszych, bo pozatem są w Niemczech liczne inne pisma, zajmujące się także myślistwem, a przeznaczone głównie dla przemysłu leśnego, leśniczych, gajowych, oraz handlujących dziczyzną.

Biorąc pod uwagę, że szczególnie w czytelniach związków myśliwych część tychże czyta gazety na miejscu, nie prenumerując ich, ani nie kupując, — gazeta niemiecka dochodzi do wniosku, że liczbę czytających pisma łowieckie w Niemczech podnieść można do 135.000.

I oto tę liczbę na 350.000 kart łowieckich gazeta uważa za zbyt niską i zajmuje się dociekaniem przyczyn tego stanu rzeczy, który w Polsce mógłby uchodzić za urzeczywistnienie wymarzonego ideału.

Na pierwszem miejscu stoi więc kwestja pieniężna. Tutaj musimy wyjaśnić, że prenumerata pisma niemieckiego, które o tem pisze, kosztuje kwartalnie 3 razy więcej, niż prenumerata „Łowca Polskiego".

Przed wojną nakład łowieckich pism niemieckich był o wiele większy, niż obecnie. Ale ubytek należy przypisać odpadnięciu od Niemiec całych prowincyj na Wschodzie i Zachodzie.

Gazeta zwraca też uwagę, że zazwyczaj myśliwi nieprenumerujący pisma łowieckiego, nie należą także do żadnego kółka ani stowarzyszenia. W tych zrzeszeniach bowiem wywiera się widocznie presję na członków, żeby prenumerowali pismo myśliwskie.

Ależ też w Niemczech z lekceważeniem odnoszą się w kołach łowieckich do myśliwego, który nie należy do zrzeszenia i nie prenumeruje pisma łowieckiego.

W omówieniu treści czasopism łowieckich na uwagę zasługuje spostrzeżenie fachowca niemieckiego, dotyczące opisów polowań, a opiewające: Nic tak nie rozszerza horyzontu myślenia czytelnika, jak artykuły o polowaniach w krajach obcych śród stosunków odmiennych od miejscowych.

Jest to pośrednio odpowiedź dla tych, którzy naiwnie mówią, że ich nie interesują opisy polowań egzotycznych, ponieważ sami nie mogą polować w krajach dalekich. Pretensje te odparł już zresztą bardzo trafnie red. Juljan Ejsmond na jednem z zebrań publicznych, mówiąc dosadnie, iż pretensja taka równa się żądaniu, aby prasa nie opisywała lotu Lindbergha przez ocean, bo przeciętny czytelnik nigdy takiego lotu nie dokona.

Podobnież źle robią ci, którzy nie czytają korespondencyj myśliwskich z różnych dalekich stron kraju, interesując się jedynie bliższemi okolicami. Najbardziej właśnie poucza zaznajamianie się ze stosunkami dalekimi. Pozatem zresztą człowiek nie siedzi przez całe życie w jednej okolicy. Może mu też wypaść gościnne polowanie lub nawet korzystna dzierżawa polowania w dalekich stronach.

Autor zajmuje się także częścią ogłoszeniową pisma łowieckiego. Lecz do tych szczegółów i uwag jeszcześmy, że tak powiemy, nie dorośli. Nie można bowiem nawet w przybliżeniu porównywać naszego mniej niż skromnego zasobu ogłoszeń łowieckich z wielką obfitością tychże w niemieckich pismach myśliwskich.

Tembardziej wszakże każdy myśliwy polski dbać powinien o swoje pismo polskie, nie zadawalając się prenumerowaniem go, lecz popierając je i niejako narzucając tym, co o nie nie dbają. Musimy przecież wstąpić w szeregi państw cywilizowanych także na punkcie myślistwa polskiego i jego piśmiennictwa, a nie być wiecznie upośledzonymi i kroczącymi w ostatnim szeregu, jako ci maruderzy.

J. O.

Z ŻYCIA TOWARZYSTWA MYŚLIWSKIEGO.

Każde Towarzystwo myśliwskie na pierwsze miejsce swego statutu stawia następujące cele: 1) ochronę i podniesienie zwierzostanu, 2) racjonalne polowanie, oraz 3) współdziałanie z władzami w zwalczaniu wykroczeń przeciw obowiązującym prawom łowieckim. Chciałbym w krótkości omówić warunki, w jakich znajduje się Towarzystwo myśliwskie i jaki może być zakres jego działalności.

Ochrona zwierzostanu! Cóż z tego, że trzydziestu czy więcej członków Towarzystwa zdaje sobie sprawę, że zwierzostan dobry na ziemiach naszych jest składową częścią naszej narodowej gospodarki, że jest jednym ze składników naszego bogactwa.

Nie zdaje sobie z tego sprawy nasza wieś. Jeden z niedoświadczonych jeszcze myśliwych, wydzierżawiając dla Towarzystwa pewną wieś, starał się zjednać gospodarzy argumentem takim, że zwierzostan podniesie się, gdy Towarzystwo weźmie te tereny. Gospodarze oświadczyli, że i tak dosyć im szkody zające zrobiły i gdy Towarzystwo ma zamiar jeszcze namnożyć, to lepiej polowania na gruntach wsi nie wypuścić. I nie wypuścili. To też ze zwierzyną zupełnie się nie liczą i jak mogą tylko, to tępią. Na kuropatwy zakładają sidła, na zające „wnyki". Na szyjach zajęczych tylokrotnie widziałem zardzewiałe „wnyki". Biedny zając rozpaczliwie musiał walczyć, drut zaciskał mu gardziel, aż ślepie na wierzch wyłaziły... lecz szamotaniem tem uratował sobie życie. Nie nadługo... dosięgnął go bowiem śrut myśliwego.

A ileż to zajęcy z sideł się nie wydostało i stanowiło łatwą, lecz nieetyczną zdobycz kłusownika.

Jakżeż ma się trzymać zając na naszych polach, gdy co krok czyha na niego śmierć. Plagą są psy i koty, które wałęsają się po polach i straszą zwierzynę. Niektórych wsi tylko dlatego wydzierżawić nie można, że gospodarze boją się, by nie wystrzelać im psów i kotów. Wystrzelać wałęsające się psy — to narazić się na to, że kontraktu z Towarzystwem nie odnowią. Czyż opłaci się Towarzystwu zakupić samice zajęcze i puścić je w pole, gdy wie się z góry, że przegonią je pieski, że mogą być złapane na wnyki lub też zabite przez kłusowników. Towarzystwo w tym wypadku jest bezradne. Za wykrycie podobnych nadużyć Towarzystwo ofiarowuje nagrodę policji, ale złapanie jednego kłusownika sprawy nie ratuje. Tak trudno zresztą te wykroczenia ujawnić wobec dużej solidarności wsi.

Cóż zostaje więc Towarzystwu do zdziałania? Uratować zwierzostan od zupełnej zagłady Towarzystwo może tylko przez racjonalne polowania. „Pomyk" musi być bezwzględnie zniesiony. Towarzystwo, które tego ograniczenia nie wprowadziło, nie ma nic z myślistwem wspólnego. Niestety, o istnieniu podobnych zrzeszeń słyszałem. Znowu pewna drażliwość: nie wszystkim członkom Towarzystwa można wierzyć. Przyjmuje się wszystkich w dobrej wierze, że będą praw łowieckich ściśle przestrzegali, lecz nie wszyscy są w tym kierunku dostatecznie wyrobieni. Można być pewny, że myśliwy do zająca w czasie ochronnym nie strzeli, ale w końcu października... przecież prawo pozwala. Myślę tylko o terenach Towarzystwa, na których pomyk nawet dla właścicieli gruntów jest bezwzględnie wzbroniony. A jednak przez ten pomyk tyle zajęcy ginie.

Korzystnym okazał się nakaz moralny Centralnego Związku P. S. Ł. do wszystkich Kół, do niego należących, przesunięcia terminu polowań. Ten nakaz podniósł moralnie myśliwych, należących do Towarzystwa, w oczach innych, luzem idących. Prawo przecie pozwala strzelać do zajęcy już 1-go października, ale poczucie przestrzegania uchwał Towarzystwa nie pozwala.

Towarzystwa, mające tereny przeważnie polne, raz jeden na każdym terenie polują. Znowu pewne niedomaganie, zwłaszcza wtedy, kiedy dany teren jest tak słaby, że należałoby go ominąć. Na to Towarzystwo zdobyć się nie może, gdyż ograniczając polowania na wychodnego, przesuwając termin ochronny, muszą jednakże dać swym myśliwym dosyć polowań zbiorowych.

Nie wiem, czy polowanie w kotły można nazwać racjonalnem? Jeżeli się jednak poluje, myśliwi muszą iść równo, nie robić luk, nie przystawać i nie klękać. Po sygnale „naganka do środka", nie strzelać, gdyż pozostałe zające to przeważnie samice.

Współdziałanie z władzami, a więc ze starostwem i policją wtedy jest tylko możliwe, gdy starosta i komendant są myśliwymi. Można wtedy wiele zrobić. Broń myśliwską w tym wypadku dostaną tylko osoby dla myślistwa pożądane. Jednakże mimo współdziałania z policją słyszymy o kłusownikach, polujących w każdej porze roku, bez pozwolenia na broń i na cudzych terenach. Praca policji w naszych warunkach jest bardzo trudna.

Z powyższego widzimy, że Towarzystwo myśliwskie, a raczej kółko myśliwskie, jak je nazywa sz. pan Garczyński, napotyka w swej działalności na liczne trudności.

Jednakże przez samo istnienie, przez moralną przewagę, jaką stwarza w danym ośrodku, jest niezbędne dla rozwoju naszego łowiectwa. Nie powinno być ani jednego myśliwego, nienależącego do naszego Towarzystwa.

Mieczysław Berezowski.

ZE STATYSTYKI ŁOWIECKIEJ NA POMORZU.

Bardzo interesujące i pouczające dane statystyczne łowiectwa na Pomorzu w lasach państwowych podaje „Przegląd Leśniczy". Dane te obejmują okres czasu od 1914 do 1926 r. i są tem ciekawsze, że zawierają jednocześnie dane władz niemieckich i polskich.

Pierwsza tabelka wygląda jak następuje:

STAN ZWIERZYNY.

Jelenie szt.	Daniele szt.	Sarny szt.	Dziki szt.	Zające szt.	Głuszce szt.	Kuropatwy szt.	Bażanty szt.
W roku 1914 według danych niemieckich							
520	1070	9800	330	16000	300	370	490
W roku 1921 pozostawiony przez rząd niemiecki							
440	260	3660	500	9660	130	300	50
W roku 1924							
640	400	6040	400	14000	260	450	60
W roku 1926							
700	450	6700	800	16000	300	600	60

Jak widać z powyższych danych, stan zwierzyny powiększył się w stosunku do r. 1914, a mianowicie: Jelenie o 180 szt. Dziki o 470 szt. Kuropatwy o 230 szt.

Zwierzostan, który nie doszedł do normy przedwojennej, jest następujący: Daniele o 620 szt. Sarny o 3.100 szt. Bażanty o 430 szt.

Zwierzostan, który doszedł do normy przedwojennej z roku 1914, jest następujący: Zające i głuszce.

Władze pruskie przed ustąpieniem z Pomorza nietylko, że osłabiły nadzór nad tępieniem zwierzyny przez kłusowników, lecz poniekąd zachęcały ludność do tępienia jej, dając przykład w wybijaniu takowej bez względu na płeć i porę roku. To też jak widać z wykazu za rok 1921, zwierzostan pozostawiony przez władze niemieckie, ilościowo był w nader opłakanym stanie.

Jeśli dotychczas zwierzostan nie doszedł ilościowo do normy przedwojennej, to tłómaczyć to można tem, że pomimo najszczerszych chęci i starań służby leśnej państwowej, znaczna część zwierzyny wybijana jest bez kontroli.

Odstrzał zwierzyny, a tem samem i dochód z łowiectwa przedstawia się za okres czasu od r. 1914 do r. 1926 jak następuje:

ODSTRZAŁ ZWIERZYNY.

Jelenie szt.	Daniele szt.	Sarny szt.	Dziki szt.	Zające szt.	Głuszce szt.	Kuropatwy szt.	Bażanty szt.
W 1914 roku według danych niemieckich							
50	140	600	70	8170	16	180	170
W 1921 roku							
11	8	200	80	3300	3	14	2
W 1924 roku							
10	12	210	130	4060	3	27	2
W 1926 roku							
50	40	550	400	6230	19	120	12

Biorąc cenę za zwierzynę, jaka obowiązuje obecnie, dochodowość z łowiectwa, zgodnie z odstrzałem wyżej wskazanym, w r. 1914 była 37.000 zł., nie wliczając kosztów strzałowego, wypłacane-

go służbie niższej leśnej za zabitą zwierzynę, jak również podatku komunalnego, który nie we wszystkich powiatach jest jednakowy, a który jednak powinien być wliczony w rubrycę dochodów z łowiectwa.

W r. 1914 dochodowość z łowiectwa według obowiązujących cen wynosi w przybliżeniu około 10.000 zł.

Zaś w r. 1926 dochód z łowiectwa podniósł się do sumy około 29.000 zł.

Obliczając to procentowo, wypada, że dochód z łowiectwa w r. 1926 stanowi 80 proc. dochodu z czasów przedwojennych w r. 1914; powiększyła się zaś w porównaniu do dochodu w r. 1921 o 70 proc.

TRAGICZNY ZGON SŁYNNEGO MYŚLIWEGO. Na parowcu, płynącym po Nilu, zmarł Władysław hr. Hunyady, wskutek ran, zadanych mu przez lwa, którego postrzelił. Zmarły tak tragicznie magnat węgierski, liczył dopiero 52 lata. Już jako młodzieniec, odznaczał się celnością strzałów i zamiłowaniem do myślistwa. Słynne były polowania, które przed wojną urządzał w Karpatach. Nikt z uczestników tych polowań nie mógł się mierzyć z hr. Władysławem pod względem zręczności i pewności strzałów, to też położył trupem mnóstwo niedźwiedzi, śród których znajdowały się okazy olbrzymie. Postanowiwszy przed laty wybrać się na polowanie na grubego zwierza do Afryki, tak zasmakował w tych wyprawach myśliwskich, że odbył ich z biegiem czasu dwanaście, przywożąc za każdym razem trofea obfite pod postacią skór i rogów upolowanych lwów, hipopotamów, nosorożców, antylop i innych zwierząt afrykańskich. Hr. Władysław upolował podczas tych wypraw afrykańskich 19 lwów i tak wszyscy byli pewni niechybności jego strzałów, że nikt nie przypuszczał, aby mógł paść ofiarą swego zamiłowania myśliwskiego. Tymczasem właśnie dwudziesty lew, ugodzony kulą słynnego myśliwego, przeciął pasmo dni jego. A stało się to śród następujących okoliczności: Hr. Hunyady wybrał się z dwoma krajowcami z wybrzeża Nilu w głąb Sudanu. Tym razem wycieczka zapuściła się daleko, choć bowiem hrabia upolował już znaczną ilość zwierzyny, to jednak nigdzie nie widać było lwów, zapalczywy zaś strzelec postanowił koniecznie zdobyć jeszcze jedną lwią skórę. Zapuszczano się więc coraz dalej, aż wreszcie ósmego dnia ukazał się wspaniały, dorosły lew na donośność strzału. Huknęły dwa strzały i lew, trafiony obu kulami, runął na ziemię, a hrabia tak był pewny skutku swych strzałów, że podszedł nieostrożnie do swej zdobyczy. W chwili jednak, gdy stanął nad lwem, zwierz zerwał się i jednem, potężnem uderzeniem łapy zwalił z nóg myśliwego i legł na nim. Na ten widok jeden z towarzyszących hrabiemu krajowców, wpakował jeszcze trzy kule w ciało drapieżnika i dopiero wówczas zdołano rannego wydobyć z lwich pazurów. Okazało się, że hrabia odniósł rany bardzo ciężkie, choć więc zdołano donieść go jeszcze przy życiu na parowiec, to jednak nastąpiło już zakażenie krwi i słynny myśliwy zakończył życie, zanim parowiec przybył do Chartumu.

Zawody strzeleckie

Towarzystwa łowieckie a strzelectwo. Polskie Towarzystwo Łowieckie w Warszawie zorganizowało pierwszą w kraju strzelnicę małokalibrową publiczną; wyszkoliło też na niej wielu zawodników oraz kilku strzelców mogących śmiało pretendować do wyróżnień międzynarodowych.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie we Lwowie, mające na celu racjonalny rozwój myślistwa, urządza od kilkudziesięciu lat zawody, które, dzięki świetnej organizacji i głębokiemu zrozumieniu sprawy, gromadzą co rok mnóstwo doskonałych strzelców.

W Wielkopolsce Związek Myśliwych urządza doroczne konkursy trzydniowe, mające już swą ustaloną tradycję chlubną. Pozatem na terenie b. zaboru pruskiego przeważnie liczne Bractwa strzeleckie kurkowe pracują wytrwale w danym zakresie.

Ze strzelnic warszawskich. Na strzelnicy przy ul. Zieleniewskiej (obok Parku Skaryszewskiego) rozegrany został konkurs strzelecki, przyczem największa możliwa suma punktów uzyskanych była 200. Konkurs wygrał kpt. Laudański (Legja), osiągając doskonały wynik 185 pkt. przed dr. Mościckim (183 pkt.), Żebrowskim (179 p.), Zapolskim (174 pkt.) i Sierocińskim (173 pkt.).

Strzelnica na forcie Szczęśliwickim. Z subwencji m. Warszawy buduje się na dawnym forcie Szczęśliwickim stadjon sportowy, który posiadać też będzie strzelnicę na odległości do 600 metrów, małokalibrową i myśliwską.

Z pow. Cieszyńskiego. W dniach 5, 6 i 12 czerwca odbyły się na strzelnicy szkolnej w Boguszowicach zawody strzeleckie, w których brało udział ogółem 358 uczestników. Mistrzowską nagrodę powiatu zdobył p. Alfred Ryszka, uczeń gimn., osiągając na 300 pkt. możliwych 230. I-szą nagrodę hufców szkolnych zdobył p. Józef Chmiel, uczeń gimnazjum 195 pkt. I-szą nagrodę stowarzyszeń przysp. wojsk. p. Alfred Machej 220 pkt.

Prezydent Rzplitej królem kurkowym. W czasie odbytego strzelania kurkowego Bractwa Strzeleckiego w Starogardzie oddał pierwszy strzał w imieniu Prezydenta Rzplitej p. Grzybielski. Strzał padł na dwunastkę i był najlepszy, wobec czego p. Prezydent został obrany królem kurkowym Bractwa Strzeleckiego w Starogardzie. Zarząd bractwa wysłał depeszę do p. Prezydenta z prośbą o przyjęcie tej godności.

„Uwagi o strzelaniu". Jeden z najwybitniejszych strzelców europejskich, Leon Johnson w studjum swem o powyższym tytule informuje zawodników strzeleckich o broni, którą autor zna doskonale; o konkursach strzeleckich i przygotowaniach do nich. Informacje opiera na podstawie własnego doświadczenia bogatego, brał bowiem udział w wielu międzynarodowych zawodach strzeleckich. W książce tej zgromadzone są opinje mistrzów amerykańskich i szwajcarskich.

Pierwszy mistrz świata. W r. 1897 odbyły się w Lyonie pierwsze międzynarodowe zawody strzeleckie. Reprezentowane były na nich następujące państwa: Francja, Holandja, Norwegja, Szwajcarja i Włochy. Strzelano do tarczy 1-metrowej z 5 pierścieniami na odległość 300 metrów. Mistrzostwo świata zdobył po raz pierwszy Szwajcar, p. Franciszek Jullien, osiągnąwszy 501 punktów, co po przeliczeniu na tarczę 10-pierścieniową daje 942 punkty na możliwych 1200. W r. 1921 zjawili się po raz pierwszy w szrankach strzelectwa międzynarodowego zawodnicy polscy.

Polak najlepszym strzelcem w Ameryce. W uzupełnieniu wiadomości już podanej na tem miejscu, zaznaczamy, że sierżant marynarki Stanów Zjednoczonych, L. Lach, polak, urodzony w Claridge, w stanie Pensylwanji, z rodziców polaków, posiada — jak donosi dziennik „Pittsburczanin" — 74 medale i inne odznaczenia za celne strzelanie. Lach cieszy się sławą najcelniejszego strzelca w armji Wuja Sama. Między innemi zdobył rekord w strzelaniu na odległość 200 yardów, a w roku ubiegłym podczas wystawy w Filadelfji, zdobył szampionat w strzelaniu z pistoletu i zaliczony będzie do oddziału najlepszych strzelców amerykańskich.

Z cyklu polowań rodziny cesarskiej Habsburgów.



JELENIE.

Przepyszny, gruby 18-tak, którego 24 września 1888 r. położył w czasie rykowiska Fr. hr. Nadasdy w Marmarosz (Karpaty) w rewirze Brusztura. Jeleń ten po wypatroszeniu ważył 239 kg.

Malował Pausinger.

Piekąca sprawa.

Czytałem z żywem zadowoleniem w N-rze 14 „Łowca Polskiego" o Wystawie psów urządzonej w Warszawie w dn. 26 — 29 czerwca b. r. przez Polski Związek Hodowców Psów Rasowych.

Proszę Sz. Redakcję, by mi pozwoliła w swym organie rzucić na papier kilka słów, uwag i refleksyj w sprawie hodowli psów myśliwskich w Polsce, bo to sprawa ważna i obchodzić winna każdego myśliwego.

Polski Związek Hodowców Psów rasowych — jakby z tej jego nazwy sądzić należało, jest, a przynajmniej być powinien Centralą wszystkich Klubów, Towarzystw i Związków Kinologicznych w Państwie, powinien być pulsem państwowego ruchu kinologicznego, pracować nad rozwojem hodowli psów rasowych i nad tej hodowli ujednostajnieniem.

Tymczasem tak nie jest. O P. Z. H. P. R. słyszy się tylko wtedy, gdy urządza wystawę psów w Warszawie. Na tem poczynaią się i kończą jego czynności. Wystawę psów urządzić bardzo łatwo, a i intratnie, gdyż jako stary praktyk wiem dobrze, że taka impreza robi zawsze dobrą kasę. Lecz Centrala taka ma przed sobą o wiele donioślejsze zadanie: **Zorganizowanie ruchu Kinologicznego w Państwie, dla rozwoju hodowli psów rasowych.** To pole leży u nas zupełnie odłogiem.

Przypatrzmy się organizacji kinologicznej na Zachodzie. W Austrji, gdzie hodowla psów rasowych stała bardzo wysoko, mieliśmy przed wojną Centralę w Wiedniu pod nazwą Oesterreicher Hundezucht-Verein. Ta normowała ruch kinologiczny w monarchji i była żywem tętnem tego ruchu. Kluby prowincjonalne należały do centrali w charakterze członków wspierających (Förderer) z pewną składką roczną. Oprócz tego wszystkiego Kluby i centrala wybierały po jednym delegacie i tworzyły Związek delegatów (Delegiertenversammlung), który do przestrzegania norm rasowych, a więc do czuwania nad utrzymaniem czystości ras był powołany. Centrala prowadziła księgi rodowodowe, jedynie w państwie za ważne uznawane, wysyłała sędziów na wystawy i Fieldtrialsy (Próby polowe) wyżłów, dawała nagrody w medalach.

W tym stosunku do Centrali stał i nasz galicyjski Klub hodowli i tresury psów myśliwskich (niestety, wskutek światowej wojny zniweczony) i na zawołanie przy urządzaniu wystaw i popisów polowych wyżłów miał sędziów i instruktorów. W ten sposób ruch kinologiczny w byłej Galicji normalnie począł się rozwijać. W ten sam sposób jak w Austrji i w innych państwach zachodnich ruch ten był i jest unormowany.

U nas dzieje się, niestety, zupełnie inaczej. Przed kilku laty założony nowy Kennelklub we Lwowie, darmo kołatał do P. Z. H. P. R. wiele razy o rady, wskazówki, i mimo że składkę członka do niego

wpłacił, **nigdy nie otrzymał nawet odpowiedzi.** Klub ten już kończy swój krótki, efemeryczny żywot. Chciał on na moją propozycję zająć się urządzeniem Wystawy Psów rasowych w ramach I Og. Wystawy Sportowej we Lwowie. Prosiliśmy Centralę o rady, sędziów etc. — ale znów nie otrzymaliśmy nawet odpowiedzi! Dlatego też wystawa mimo najlepszych chęci ze strony Komitetu org. Wystawy sportowej urządzona była po dyletancku i nie odpowiadała celowi t. j. sprawie podniesienia hodowli psów rasowych. Od czegóż właściwie jest ten Związek i czemu się **polskim** nazywa? Wystawy psów i to tylko w Warszawie urządzane nie mają żadnego ogólniejszego dla rozwoju hodowli psów myśliwskich znaczenia i nie prowadzą do celu!

Pierwszym dzisiaj i piekącym postulatem całego łowiectwa polskiego jest sprawa hodowli psów myśliwskich i unormowania ruchu kinologicznego w Państwie. Zająć się nim winien w pierwszym rzędzie Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich. On powinien dać inicjatywę do tworzenia się kennelklubów, jeżeli już nie w każdem województwie, to przynajmniej w większych miastach prowincjonalnych. Do przeprowadzenia tej akcji ma środki, bo ma swój organ i ma podlegające mu, prowincjonalne Towarzystwa Łowieckie i myśliwskie. On powinien wejść w żywy kontakt z Centralą Kinologiczną i przeprowadzić w jej zarządzie dobór ludzi fachowych i dobrej woli. Prowincjonalne Towarzystwa Łowieckie pod naciskiem swej Centrali powinny dać inicjatywę do stworzenia się Kennelklubów prowincjonalnych, podległych klubowi centralnemu. W ten sposób da się na wzór unormowany od dawna w innych państwach, stworzyć i rozwinąć hodowlę tego najpożyteczniejszego zwierzęcia domowego — nieodstępnego towarzysza i pomocnika myśliwego. Prócz Małopolski, gdzie hodowla psów myśliwskich kwitnie, rozwija się i podlega pewnym normom (choć także o ile wiem, chodzi luzem), pole to leży u nas odłogiem, że aż wstyd! Trzebaby już raz zacząć na niem pracować. Ludzie chętni znajdą się pewnie! Byle raz wziąć się do rzeczy! Hodowla psów myśliwskich świadczy o poziomie danego łowiectwa.

Bez psa niema myśliwego, bez psa niema łowiectwa!

Albert Mniszek.

Z literatury łowieckiej.

Dr. Konrad Wróblewski — „ŻUBR PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ".

(Zob. № 15)

Jakie były warunki ekonomiczne w bytowaniu żubra? Odpowiedź na to jest bardzo smutna. Żubr zamieszkiwał ongiś olbrzymie przestrzenie leśne, lecz w miarę jak człowiek rozpościerał na ziemi swe panowanie, obszary te malały i biedny zwierz widział rejon swego rozmieszczenia stopniowo, lecz stale redukowany, aż w końcu ograniczono jego habitat do Puszczy Białowieskiej — u nas, i do znacznego obszaru leśnego u podnóża gór Kaukazkich. Gdybyż przynajmniej ta Puszcza pozostawiona została samej sobie w jej pierwotnym stanie; miałby żubr wtedy niewielki wprawdzie, ale sobie oddany obszar. Lecz człowiek musiał las eksploatować, więc osiedlano tu t. zw. budników, butni-

Z PSAMI.

Dokończenie (Zob. Nr. 15).

Ledwie nas postawiono, psy odezwały się, zanim zagrała trąbka. Obydwa gonią, odróżniam głosy, choć daleko. Na linję pędzą, słyszę wyraźnie; na lewe skrzydło. Dobrze trzymają, jak gończe, nie ucięły ani razu; coraz bliżej są linji, coraz bliżej...

Dwa strzały padły na ostatniem stanowisku. Krótka chwila ciszy i, już za linją myśliwych, gonią znowu; jeszcze goręcej, jeszcze zajadlej, aż drży od wrzasku las. Okładają teraz i na linję prowadzą, na której stoją konie; dalej gdzieś, przed końmi będą przechodzić.

Zajeżdżać, zajeżdżać — co tchu! Od czego konie! — Odemnie najbliżej. A może uda się, może do mnie właśnie uśmiecha się Djana, może dziś mój dzień.

Widząc mnie pędzącego, doświadczony woźnica, bez mówienia, wiedział o co chodzi. Ledwie dotknąłem stopnia, ruszyliśmy z kopyta.

Wyraźnie na naszą linję pędzą; ostro idzie gon. Jedziemy, aż warczą koła u pojazdu i migają drzewa przy drodze. — Zdążę, czy nie zdążę? — Byle odczuwać i rozumieć: niezrównane chwile hazardu i niepewności, chwile zwątpienia i nadziei. — Zdążę, czy nie zdążę?!

Wyciągniętego kłusa, aż w galop wpadają konie — trzysta kroków, nie więcej! —Dojedziemy!— Już z boku nie przed nami słychać gon — wolniej teraz, wolniej: jeszcze stępa pięćdziesiąt kroków. Nogi wysunąłem z wasąga. — Stać! Stać! — Za nami szczekają psy; na jednem miejscu szczekają. — „Stanowią, panie" — potwierdził stangret. — Już mnie nie było.

Niedaleko miałem — trzy, cztery minuty może. Blisko już, coraz bliżej słyszę ujadanie, gorąco idzie rozprawa. Aż dziwno, że tam dwa psy szczekają tylko. Już na strzał jestem bez mała; tuż, tuż wre bitwa. Wypatrywać już zaczynam i zwalniam, żeby odetchnąć. Strzelać nie mógłbym, tak bardzo bije mi serce. Dzika, dużego dzika pod psami mam przed sobą. Na myśl przychodzą mi, słyszane kiedyś historje. — Ba! od czego sztucer! — Zaglądam śpiesznie, czy nabity.

Ostatnie pół stai idę wolno zupełnie, wypatrując i gotów każdej chwili. Jestem już na strzał, na bliski strzał I — strzelić nie mogę. Nie widzę dzika, ani psów. Szmat młodej świerczyny, piętnaście kroków wzdłuż i wszerz, tak zwartej, tak gęstej, że już o krok od brzega nie widziałbym końca luf. W samym środku gąszczu, za zielonym murem, o dziesięć kroków, zawzięta, zażarta toczy się bitwa. Tuż, tuż, słyszę psy, słyszę charkotanie i fukanie dzika, słyszę kotłowanie i trzask łamanego suszu — ale dojrzeć nie mogę nic. Z biciem serca nasłuchuję, kiedy zaskomli ścięty pies. Mniejsza o dzika, psom, psom pomódz trzeba, jak najśpieszniej. Obchodzę gąszcz dokoła; zaglądam ze wszystkich stron; patrzę nisko nad ziemią — napróżno. Wszystko napróżno — nie widzę nic. Stoję, jak z przewiązką na oczach — bezradny. Nie wiem poprostu, co robić! Strzelić na alarm? — Pójdą drugą stroną gąszczu i zaczynać wypadnie od początku. Probować wdzierać się do środka, bądź co bądź? Próżne ryzyko: w gąszczu nie strzelę, a kordelasa nie mam i psów mało, nie utrzymałyby dzika. Dać sygnał, wołać pomocy? Zadługo czekać i dzika zabije ktoś inny.

Nieoczekiwanie zupełnie z kłopotu wybawiły mnie psy. Pierwszy wybiegł z gąszczu doświadczony Kruczek, a za nim srokaty psina, dzięki któremu zabiłem pojedynka. Nietknięte na szczęście obydwa i zdrowe. Kiedy mnie zobaczyły, uradowane, zaczęły skakać i łasząc się, zachęcały wyraźnie, żeby

ków, ogrodników, strzelców i t. p., którym nadawano działki ziemi do użytkowania, a ponieważ łąki przybrzeżne nie wystarczały dla inwentarza tych osadników, więc przydzielano im łąki w głębi samej Puszczy, dzięki czemu cały prawie obszar tych łąk był w użytkowaniu miejscowej ludności, czyli ogółem zgórą 6000 ha.

Największy błąd popełniono w 6-ym dziesiątku lat zeszłego stulecia, z chwilą, kiedy nadeszła reforma rolna. Komisja lustracyjna zamiast co najwyżej pozostawić tych osadników na ich działkach w charakterze dzierżawców, przydzieliła im na własność te parcele, a w wypadkach, gdzie one były niewystarczające, powiększyła je przez nowe nadziały. Tym sposobem potworzyło się na obszarze Puszczy jakich 120 punktów zaludnionych, pomiędzy którymi jest już kilka większych siół, a nawet miasteczek. I ludność ta wzrasta szybko, bo gdy w chwili nadziału było w Puszczy 1050 domów z 3921 mieszkańcami, obecnie jest tam 2839 zamieszkanych budynków z 14.066 mieszkańcami.*) Osadnicy ci hodowali ni mniej, ni więcej, tylko zgórą 8300 sztuk bydła, włóczącego się po znacznej części Puszczy, pozbawiając ją przez to charakteru lasu dziewiczego.

Najbardziej ujemną stroną togo współżycia człowieka obcego z jej dawnym, prawowitym mieszkańcem — żubrem, była możność, jaką miał osadnik włóczenia się po całym lesie, co mu ułatwiało kłusowanie za tą zwierzyną. To też ilość żubrów zaczęła szybko spadać i gdy w r. 1861 liczono 1447 głów tych zwierząt, już w roku 1889 widzimy ich zaledwie 380 sztuk. Dopiero z chwilą przejścia Puszczy do Zarządu „Udziałów" (Udiełow) ludność puszczańska zaniechała widać niecnego procederu kłusownictwa, mając liczne zarobki zkądinąd. Od tego też czasu kłusownictwu oddawali się przeważnie ludzie z sąsiednich miejscowości. Ilość żubrów zaczęła się też dość szybko podnosić i w roku 1907 doszła znów do 741 sztuk.

*) Przypuszczam, że liczby te stosują się do pierwszego dziesiątka lat naszego wieku. (Sztolcman).

Zdawało się więc, że zwierz ten będzie mógł prosperować nadal, gdy oto zjawił się nowy konkurent — jeleń, którego nadmierny rozrost sprowadził, jak to widzieliśmy, zmianę w charakterze lasu, co się musiało odbić fatalnie na egzystencji żubra.

Niemałą też rolę w sprawie bytowania tego zwierzęcia odgrywa eksplotaowanie Puszczy jako lasu. Pierwsze próby w tym kierunku przeprowadził podskarbi W. Ks. Litewskiego, Antoni Tyzenhauz, który połączył Narew z Narewką dla spławu drzewa, a ponadto zaprowadził przemysł garncarski, hutniczy, smolarski i t. p. Aleksander I zabronił eksploatacji lasu, lecz następnie prowadzono cięcia systematyczne a także na potrzeby budowy okrętów. Najwięcej ucierpiał las w początkach 1854 podczas eksploatacji przez niemiecką firmę Bugenhagena. Wreszcie Aleksander III, bawiąc w 1884 r. w Puszczy, zakazuje znów wszelkiego cięcia, aby las mógł zachować swój dziki, naturalny charakter, lecz powoduje to nagromadzenie się suszek i zwału, szkodliwych dla samej puszczy, co skłania do ponownej eksploatacji w 1903 roku.

Niemałą szkodę żubrom przyczyniał w Puszczy przemysł smolarski i bednarski, który gromadził w jej obrębie tysiące ludzi, włóczących się po lesie i śledzących zawistnie przebywające tam żubry. Ludzie ci stanowili główny kontyngent kłusowni-

---

pójść za nimi w głąb gąszczu. W ich poczciwym, psim języku znaczyć to miało niewątpliwie: „Wszak widzisz, robimy, co możemy, ale same nie damy rady!" Dzielne pieski żądały pomocy.

Upewniwszy się, że zwierz nie wyszedł i tkwi jeszcze w gąszczu — nie wiedziałem znowu, co dalej. Byle ruszyć go z tej fortecy. Potem, co będzie, to będzie!

Od brzegu świerczyny nie dalej byłem, niż metr. Przyszczuwając z całych sił, skoczyłem i zrobiłem ruch, jak gdybym biedz chciał w środek gąszczu. Szczekając zaciekle, psy rzuciły się bez wahania.

Stałem na samym skraju świerczyny i w pogotowiu czekałem. Nie upłynęło pół minuty, usłyszałem tuż przed sobą fuknięcie i równocześnie, o krok, zobaczyłem szary grzbiet wypadającego wprost na mnie dzika. Przeleciało mi przez głowę, że tak przedstawia się, widziany z góry, uderzający torpedowiec: szary, wydłużony i szybki, jak piorun. Sekunda, czas światła błyskawicy; nie miałem czasu podnieść broni do twarzy.

Odruchowo, nieświadomie, zastawiłem się sztucerem i, w tem samem mgnieniu oka — dotknąłem lufami zwierza, pociągnąłem za spust i uczułem uderzenie w kolano, po którem, twarzą naprzód, upadłem na ziemię. Dzik, a za nim psy, przewaliły mi nad głową i poszły.

Zdążyłem jednak zerwać się i strzelić raz jeszcze, o dziesięć kroków, w zad zwierza. Ośmielone strzałami, psy uderzyły z podwójną zaciętością.

Sprawa była wygrana.

Czy to na skutek otrzymanych już ran, czy z powodu nacierających coraz zuchwalej psów, zwierz, zmuszony odcinać się na prawo i na lewo, szedł wolno, a nawet zatrzymywał się chwilami i do kontrataku przechodził sam. Role zmieniały się wówczas: podkuliwszy ogon, pies uciekał, a gonił go, fukając groźnie, rozsierdzony dzik.

Obraz był godny pędzla Chełmońskiego, albo Fałata: w zimowym, otwartym lesie, na tle śniegu, duży, czarny dzik, opędzający się psom. Scena taka wynagradza myśliwemu sowicie lata całe zawodów i kochać każe mu knieję goręcej jeszcze.

Ze względu na psy jednak, dla których rozżarty, bitny zwierz mógł być niebezpiecznym, zakończyć dramat należało jaknajśpieszniej. Trzymając sztucer w pogotowiu, szedłem za walczącą trójką na bliski strzał. Strzelić jednak, z powodu psów właśnie, nie mogłem. Akcja była tak gorąca, potyczka tak zawzięta, że mimo całej, ustawicznej gotowości, uchwycić nie mogłem momentu, żeby strzelić, nie narażając życia psów. Nie uśmiechały mi się wawrzyny tych opłakanych nemrodów z pod ciemnej gwiazdy, którzy, nerwów swych opanować nie umiejąc, białą, małą psinę biorą za wilka*), albo psa zabijają, zamiast dzika. Ba! Na pamięć mi przyszedł wówczas epizod, w którym myśliwiec taki morowy wypatrzeć potrafił i zabić jednego jedynego psa, jaki obszczekiwał stado kilkunastu dzików. Sztuki podobnej nie dokaże byle kto! Po tryumfie takim, tylko pacierz zmówić i postawić sztucer do kąta, na wieki wieków.

A tu jak ukrop, aż gotuje się przedemną!

Składam się raz, drugi — ani rusz! Wymierzyć w łeb, czy łopatkę zwierza, nie mogę, bo albo zasłaniają drzewa, albo przeszkadzają czepiające się jego boków i karku psy. Jeżeli dzik probuje przerwać bitwę i pójść, jeden pies zabiega mu drogę i naszczekuje od przodu, a drugi tymczasem, szarpie go z tyłu za szynki. Dzik zwraca się wówczas, fuka, i tańczą dalej.

*) autentyczne.

ków, a wybitnie pod tym względem wyróżniały się wsie Chwałowo i Rouhick, słynące „z zawziętego kłusownictwa", jak się wyraża prof. Wróblewski.

Osobny rozdział poświęca autor zagadnieniu wymierania żubrów, przychodząc do wniosku wręcz przeciwnego teorji Buchnera, Ussowa, Ruzskiego i innych, według których niektóre gatunki giną wskutek starości, to znaczy, że indywidua, tworzące takie gatunki, noszą już w sobie zarodki śmierci i wtedy nic nie pomaga postawienie ich w naturalnych, jaknajkorzystniejszych warunkach. Według dra Wróblewskiego taką teorję należy postawić pod wielkim znakiem zapytania, gdyż przyczyny, powodujące zanikanie gatunków są z wyjątkiem jednego natury zewnętrznej, jak np. brak niezbędnego pokarmu, walka z silniejszym konkurentem, wielkie kataklizmy w przyrodzie, pojawienie się zarazków bakterjologicznych i t. p. Za jedyną przyczynę wymierania, tkwiącą w samym organizmie, uważa dr. Wróblewski samochów (Inzucht). Takie objawy, jak np. zdrobnienie u żubrów, pojawienie się ciemniejszej (prawie czarnej) odmiany i t. p. uważa autor nie za skutki zwyrodnienia lecz przeciwnie, za tworzenie się nowych odmian, coby właśnie siłę danego gatunku znamionowało. Jako przykład, że zdrobnienie nie jest bynajmniej objawem zwyrodnienia, przytacza autor byczka kaukaskiego, który jakkolwiek należąc do rasy drobniejszej, sprowadzony do Białowieży i odpowiednio karmiony, przewyższa półtora raza swe równolatki białowieskie. Dzienna racja tego byczka w pierwszym roku jego przebywania w Białowieży składała się z 3 i pół kwart mleka, zmieszanego z dwoma funtami otręb pszennych, nadto z dwu funtów marchwi, dwu funtów owsa, z koniczyny i siana w dowolnej ilości, oraz z soli w kawałkach. Przy tych normach pożywienia żuberek rozwijał się bardzo dobrze.

Na podstawie statystyki oficjalnej oceniano roczny przyrost żubrów na 14 procent, co przy ubytku 6 procent do 8 procent wynosi zaledwie 6 procent do 8 procent. Lecz i ta cyfra jest zbyt wysoką, gdyż przyjmując ją, mielibyśmy w ciągu 20 lat przyrost 1000 głów, co jest zbyt dalekiem od rzeczywistości. Autor przyjmuje ostatecznie jako procent przyrostu rocznego 4 procent do 2 procent i dochodzi do wniosku, że przyczyną tak słabego rzeczywistego procentu nie jest bynajmniej słaby procent przyrostu, lecz raczej olbrzymi procent ubytków wśród młodzieży, bowiem na sto głów ogólnego ubytku przypada 49 głów młodzieży. Jako przyczynę tych tak znacznych strat wśród młodzieży uważa autor „niedostateczne i nieracjonalne utrzymanie żubra".

Innym powodem nader słabego przyrostu żubra w Białowieży były rzadkie, co-dwuletnie porody, będące w związku z długotrwałem karmieniem żubrząt, podczas którego krowa instynktownie unika zapłodnienia, gdyż brakby jej było pokarmu na jednoczesne przekarmienie żubrzątka oraz rozwijającego się płodu.

Ten brak pokarmu był też przyczyną późnego dojrzewania płciowego żubrów w Białowieży, gdy bowiem rasowe, dobrze utrzymane okazy bydła domowego dają już stadniki po 1 i pół roku, żubr płciowo dojrzewał dopiero w 5-ym roku. Pod tym względem u dobrze odżywianych żubrów kaukaskich już po 1 i pół roku dostrzec było można oznaki płciowego instynktu.

Pokrywanie krów przez silne, bardzo rozwinięte, stare samce również odbijało się niepomyślnie na

---

Podchodzę bliżej jeszcze i, teraz dopiero, patrząc na zwierza, uganiającego się za psami, widzę, że mam przed sobą, niestety, nie pojedynka, nie wycinka, ale ogromną, starą lochę. Trudno, stało się! Sumienie zresztą mam czyste, bo ranna już była i farbowała, kiedy odszukały ją i napędziły mi nasze Kruczki.

Rozumiem teraz, dlaczego tak śmiało i tak bezkarnie dokuczać jej mogły psy w gąszczu. Przykro mi było szczerze i, temwięcej, pragnąłem skończyć. Pewien już byłem, że zwierza dostanę, nie chciałem więc męczyć go daremnie. Dopomogła mi nieszczęsna locha sama. Widząc, że ani obronić się, ani ujść nie może, zawróciła i omijając mnie bokiem, probowała przebić się do gąszczów, z których wyparowały ją przed chwilą psy.

Na to czekałem i, naprzełaj, dwadzieścia kroków, zabiegłem drogę.

Na sztych, wolną od psów, miałem ją przez moment pod nogami prawie. Nieledwie dotknąwszy głowy zwierza, strzeliłem między oczy.

Cordite nie żartuje! Już w chwili strzału zauważyłem, że na grzbiecie padającego zwierza otworzyła się buchająca krwią rana. Kula przeszła przez łeb, przez cały kark i otworem wielkości dłoni wydarła się w świat. Nosorożec i bawół upadłby w ogniu od takiego strzału! Zdrowe serce i silne nerwy zabierać trzeba na takie polowanie.

Teraz dopiero, odetchnąwszy, kiedy schylony oglądałem rany dzika, zauważyłem, że odzienie na lewem kolanie rozdarte mam i zakrwawione. Nie dolegało mi nic i nie wiedziałem, że jestem skaleczony. Rana zresztą ciężką nie była, ani hańbiącą. Otrzymałem ją z przodu, w chwili kiedy zwierz wypadł z gąszczu, a ja nie mogłem wymierzyć, ani usunąć się z drogi.

Mówiąc językiem medycyny sądowej, były to, ściśle biorąc, długie na cal i niezbyt głębokie dwie rany „cięto-miażdżone", z przodu i nazewnątrz rzepki. Czy była to naprawdę szarża? Być może, iż nieszczęsna locha, naciśnięta przez psy, spotkawszy na drodze swej przeszkodę, usunąć ją chciała tylko i odruchowo uderzyła mnie zębami, czy poprostu ugryzła w kolano. Bardzo doświadczeni myśliwi, liczący zabite dziki na setki, ostatnie to przypuszczenie potwierdzają. Pozbawiona szabel locha uderza w ataku zębami i gryzie. Z wycinkiem sprawa nie poszłaby tak gładko: rana byłaby cięższą i, niewątpliwie, otwarte bym miał kolano.

Oprócz ostatniej w głowę, śmiertelnej, zwierz dostał trzy kule: najpierwszą, obcą, nisko na miękkie, moją wystrzeloną, kiedy locha uderzyła mnie, wypadając z gąszczu, nisko w piersi, gdzie zaczyna się brzuch, i moją drugą obok nasady ogona, od strzału w zad, kiedy probowała odejść.

Długo odwołać nie mogłem od zwierza rozżartych psów. Z lasu, coraz bliżej, nawoływała trąbka.

Ostatni miot był, jak apoteoza! Czerwono, w ogniu zachodziło słońce i blaskiem ostatnich promieni żegnało piękny, biały świat. W powodzi światła krótki, zimowy dzień konał już; w lesie, pod wieczór, brał mróz. Kończyła się „ochota"; w duszy, po upojeniach dnia, budził się żal i głuchy, nieuchwytny lęk, że więcej szarem jeszcze wyda się jutro.

Znowu, jak zrana, pędzili młodą sośniną zwartą, dziką, wyrosłą jak posiała ją matka-knieja; bez ciętych linji i bez wiz. Na krok nie było strzału w miot. I lepiej tak: nie zaprzątała myśli obawa o ludzi i o psy.

Za linją stanowisk dopiero, na tyłach, jak zasłany obrusem stół, ciągnęła się w obie strony, pokryta śniegiem, leśna łąka. Za siebie więc strzał, jak na dłoni. Za łąką, o sto pięćdziesiąt kroków, wznosiła się i zakrywała świat ściana starych sosen. Pod

rozmnoży żubrów, gdyż w tych wypadkach krowy ulec mogły ciężkim uszkodzeniom. Autor badał dwie zabite krowy, z których jedna miała zgniecioną miednicę, a druga — uszkodzone i krzywo zrośnięte dwa kręgi. Uszkodzenia te w obu wypadkach autor przypisuje pokrywaniu krów przez stare, bardzo ciężkie samce.

Chowu w sobie autor nie uważa za czynnik, odgrywający ważną rolę w życiu żubra białowieskiego, gdyż przy rozbijaniu się na stadka, stare żubry-stadniki odwiedzały niewątpliwie te z nich, z któremi łączyły je bardzo dalekie węzły pokrewieństwa

Reasumując wszystkie przyczyny wymierania żubrów w Białowieży, dr. Wróblewski przychodzi do wniosku, że największą szkodę spowodowało niepomierne rozmnożenie jeleni, które przyczyniły się do zmiany charakteru lasu na niekorzyść żubrów. Ostatecznie autor jest zdania, że o ile człowiek nie wyrzeknie się eksploatacji lasów dla uchronienia żubrów, to zwierzęta te wcześniej czy później zniknąć muszą z powierzchni ziemi.

Jan Sztolcman.

(D. n.)

Kilka słów o hodowli kusaków (Tinamu).

W dzisiejszych czasach, przy systematycznie niestety, ubywających gatunkach naturalnych zwierzostanów, tem ciekawsze według mego zdania jest, zaznajomienie się szerszego koła myśliwych z egzotycznemi odmianami, które mogą być rozpowszechniane na naszych łowiskach... Mając długoletnią praktykę podobnych hodowli, jeszcze w czasach przedwojennych, przy bardzo ciężkich warunkach klimatycznych (Kijowszczyzna), chcę się podzielić z Najmilszymi Kolegami z pod zielonego sztandaru Św. Huberta, mojem pod tym względem pewnem doświadczeniem!... Muszę dodać, że miałem szczęście podówczas posiadać współpracownictwo wybitnego fachowca, w osobie p. Macieja Hoinko — dyrektora wszelkiej hodowli zwierzyny na mych Wierzchowieńskich*) terenach.

*) Majątek nasz na Ukrainie.

Do najbardziej ciekawych i oryginalnych objektów, które, jeśli się nie mylę, li tylko były eksperymentowane u mnie — należą niezawodnie „Kusaki"... W pierwszym dziesiątku lat bieżącego stulecia, piękny ten ptak pochodzący z Argentyny i Brazylji — bardzo szeroko był reklamowany, szczególnie przez hodowlane zakłady Francuskie (Faisanderie de Meriel, Seine et Oise) własności niejakiego p. „Gallichet".

W swoim czasie zwiedzałem ten wzorowy zakład, obejmujący przestrzeni kilkadziesiąt hektarów... Najwspanialsze gatunki bażantów — łownych i dekoracyjnych, kuropatw, frankolinów, rozmieszczone były w najlepszych dla nich warunkach legu— chociaż przeważnie w ogrodzonych ubikacjach, tak zwanych „parquets". Firma ta, nieustannie zajęta była sprowadzaniem, coraz to nowych odmian — oraz próbami ich aklimatyzacji. Tinamu jakoteż ich

---

skłębionym stropem koron, odcinających się zielono na tle czystego nieba, jak żywa miedź świeciły w słońcu czerwoną korą śmigłe, wyniosłe pnie.

Nastrój wieczoru był już w przyrodzie: nie psuł spokoju ani głos w przestrzeni, ani ruch. Cicho szła obława, nie odezwała się trąbka, ani pies. Po dziennych dramatach las wracał do równowagi i usypiał. W gasnącem świetle wieczoru, milcząca knieja była jak zaczarowana, jak z bajki. Życie w tym obrazie odgadywały nerwy tylko i wyobraźnia.

Na śnieżnej bieli łąki, ukazał się lis. Czerwoną linją przekreślił przestrzeń i przepadł w lesie za łąką. Zjawisko było tak nikłe i tak ciche, że majestatu usypiającego lasu naruszyć nie było w stanie. Kiedy zniknął zwierz, śnieg na łące wydawał się bielszym jeszcze i spokój bardziej głębokim.

Zdradziecko, wilczym krokiem, przez ostęp szła obława.

Na łące, bliżej niż przed chwilą, pojawił się znowu lis. Świętokradzko zagrzmiały dwa strzały i nowym dreszczem targnęły usypiającą knieją. Już dawno zniknął lis, a słychać było jeszcze, jak tonęły w przestrzeni, błąkające się po starym lesie echa. Kiedy ucichły, spokój powracał znowu i znowu nastało milczenie.

Uwagę moją całą pochłonął zając, który wyszedł z miotu i tuż obok stanowiska, na brzegu łąki, przystanął słupka. Olśniony światłością, która go ogarnęła, nie śmiał iść dalej! Uciekał z miotu i droga najwyraźniej wypadała mu do lasu, jaką poszły przed chwilą lisy, ale przerażała go otwarta, biała przestrzeń, przez którą musiał przechodzić. W gąszczu przekraść się można i wymknąć bokiem; można politykować! Na gładkiej, białej łące ani rusz; na nic dyplomacja cała. Ciągnęło go do lasu, ale nie dowierzał swej odwadze.

Widocznie zakłopotany bardzo długo, długo siedział na skraju gąszczu i patrzył. Obcierał wąsy łapkami, słuchał, ale ruszyć się z miejsca nie śmiał. Nie pociągnął go przykład odważniejszego towarzysza, który wyskoczył z miotu, jak z procy i bez namysłu śmignął do lasu. Opadł na łapy, zrobił parę kroków i zatrzymał się znowu, jak gdyby wyrósł przed nim niewidzialny mur. Zabrakło mu odwagi; chyłkiem wrócił w gąszcz.

Machinalnie zwróciłem głowę w przeciwną stronę; drgnąłem. W czerwonem, oślepiającem świetle zachodu, jak wyrosłe z pod ziemi, przez białą przestrzeń łąki, szły wolno trzy jelenie — łanie. Nie było ich tam przed chwilą, pojawiły się niewiadomo kiedy i wypełniały teraz cały krajobraz. Pod słońce, w aureoli światła, jak w ogniu, bez konturów, jak promienna wizja, szły, poruszając się ledwie, w stronę lasu. Jak astralna zjawa w blasku słońca przesunęły się cicho przez śnieżne tło i między czerwonymi pniami sosen rozpłynęły się w cieniach boru.

Przetarłem oczy: czy to żywe jelenie były naprawdę? Czy Boecklin'a „Zaklęta knieja", albo „Cisza w lesie"?

I znowu leżała przedemną pusta, martwa łąka; nad knieją ciągnęło na nocleg wrone ptactwo; za krawędź lasu kryło się słońce.

Patrzyłem jeszcze, jeszcze byłem pod wrażeniem, kiedy na białą łąkę wyszedł człowiek i zapłakała trąbka.

Polowanie było skończone.

Noc już była gwiaździsta, kiedy wyjechaliśmy z lasu. W oddali migotały w oknach gościnne światła; jasnym płomieniem palił się w sercu Znicz wdzięczności.

St. Z.

jaja można było nabyć w „Thierhandlungu" Gudera w Wiedniu, zarówno w Pradze Czeskiej i Gratzu. Sądzę, że obecnie też możnaby je ztamtąd sprowadzać. Jeśli jednak kusaki mało się rozpowszechniły, albowiem nie słyszałem o łowiskach posiadających etat prawidłowego odstrzału tej zwierzyny — przyczyną tego, zdaje mi się był wybuch wojny, który w zarodku radykalnie przykrócił doświadczenia z ich hodowlą. Oprócz tego, trzeba też przyznać, że ociężała lotność i podryw kusaka — jego parowozowe „wyciekanie" na terenie (precz! — z cietrzewiem — wypiórem nawet) — stanowią bardzo ujemne i niesympatyczne cechy. Lecz za to, dodatnie strony i właściwości tej zwierzyny są nader ważne. Poczynając od znacznych rozmiarów, większych od kury domowej, przy ogólnej sylwetce przypominającej nieco kuliga wielkiego (Numenius arquatus) oczywiście pozbawionego swego charakterystycznego dla tego brodźca — zakrzywionego, długiego dzioba — upierzenia subtelnie falowanego ciemnemi pręgami na ogólno szarem tle — wysokich swych „kuligowych" nogach — czynią z „tinamu" prawdziwie ciekawy okaz łownego ptaka.

Hodowaliśmy je, z panem Hoinką w obszernej wolierze — przezimowały wybornie i wiosną z czterech zamkniętych samic i dwóch kogutów — doczekaliśmy się kilkunastu prześlicznie ubarwionych jaj. Jaja tinamu, większe od zwykłych kurzych — zabarwione są w świetny, ciemno - fioletowy kolor — przy cudnym, metalicznym odblasku. Wyglądają, jakby świeżo odlakierowane, na podziw błyszczące. Lecz, co stanowi najmilszą właściwość tego monstrualnych rozmiarów „chróściela" — to jego pieśń tokowa w porze godowej. Otóż, i pod względem, że tak powiem „muzycznym" — kusak też przypomina kuliga wielkiego. Godzinami całemi rano i wieczorem rozlegają się jego tak melodyjne „fletowe" dźwięki, lecz nie urywane, jak u „Kronszneрów" z podniebia, gdzieś na biedną ziemię spływające! — a nieprzerwaną strugą melodji. Pamiętam, bywało, godzinami całemi, siedząc na swym stołku myśliwskim obok woljery — „delektowałem" się do syta niemi. Wykarm młodych — ten sam identycznie — co i bażanciąt. Po odbytych lęgach — stare i młode pokolenie otrzymało wolność!... Podrywały się nieraz z bulwowych i świerkowych remiz podczas małych naganek „kogucich" na „kuchnię". Przyznać trzeba, że całokształt sylwetki tych ptaków nie stanowił zbyt estetycznego widoku. Zwieszone „po chróścielemu" nogi, ciężki powolny lot, czynił z nich jakichś prawdziwych „dziwolągów". Lecz, w każdym bądź razie niesamowitych i extra - oryginalnych!... Zapadały też niedaleko, natychmiast „salwując" się pieszą ucieczką. Podobnie jak bażanty, przed otwartą przestrzenią, dosiadywały mocno. Psa naturalnie bałamuciły i denerwowały do „nec plus ultra". Pod względem kulinarnym podobno są wyśmienite o białem zupełnie do „perliczek"*) podobnem mięsie. Mówię „podobno" — gdyż z powodu „hodowlanego" skąpstwa — nie padł od mego strzału ani jeden kusak — nad czem obecnie ubolewam mocno i gorzko.

*) O hodowli tych ostatnich, jako też dzikich bronzowych indyków — zamierzam skreślić kilka uwag w mych następnych artykułach.

Z dobrą buteleczyną czerwonego „burgunda" stanowiło to przysmak nielada i nagrodę za fatygi „kreowania"—lecz wola Boska!... Nastąpiła mobilizacja, sam oczywiście znalazłem się pięknego poranku w roli zwierzyny łownej, a jeśli któryś z pozostałych w Wierzchowni egzemplarzy trafił na półmisek jakiegoś komisarza bolszewickiego, mam nadzieję, że spowodował mu przynajmniej „rzetelną" niestrawność. Albo jest sprawiedliwość na świecie, albo jej niema! — nieprawdaż czytelniku najmilszy?

O ile mogłem zaobserwować, ptak ten lubi bardzo tereny niskie — wikliny, łąki wilgotne, trzciną zarosłe — zresztą podobnie jak i bażant. A „propos" tych ostatnich ciekawy szczegół. Posiadałem rewiry moczarowe, na których przebywały koguty zupełnie „na dziko" — takowych nigdy nie opuszczając — na skutek czego odżywiały się aż do okresu zamarznięcia wód, li tylko akwatyczno-owado-ślimakowym pokarmem — nabierały smaku, literalnie tak zwanych „łysek" (Fulica atra) — mięso nawet ich czerniało pod ten czas. Zimą, żywiąc się znowu zadawanym pokarmem w ziarnie przy budkach (proso, pszeniczny poślad, kukurydza) — odzyskiwały swe pierwotne, gastronomiczne, wyśmienite cechy!... Przepraszam za odskok!... Streszczając ten mój opis — radziłbym bardzo właścicielom terenów zwrócić uwagę na cwą ciekawą odmianę ptactwa łownego. Przekonany jestem, że prawdziwe „furory" i sukces niezwykły odniosłaby naganka na bażanty, z pod której „rwały" by się tak miłe „dziwolągi"! Podczas spacerów po swych rewirach — konnych lub pieszych — też nie małe „delicje" sprawować będą „przemykające" przez dukty i drogi napotykane kusaki o szybkości biegu niemal, że „ekspressu" współczesnego!.. Nie mówiąc już o cudnych wrażeniach „muzykalnych" — podczas Wiosny - Czarodziejki. Prawdziwy hodowca — który, jako Pigmaljon „ożywia" Przyrodę - Galateę — jest poniekąd Twórcą - Poetą! — dodający nowy sztych Piękności — Tej Wielkiej naszej wspólnej Matki Pocieszycielki — w trudnych, ciężkich chwilach życia tak nieraz szarego!... To też szczęśliwy będę, jeśli powiększę słabem piórem swem — to zaszczytne — Prześwietne Grono — miano których — Hodowcy-Tworzyciele.

Adam Rzewuski.

Przypisek Redakcji. Z naszej strony dodamy, że hodowla kusaków narobiła wiele hałasu w początkach naszego stulecia — zwłaszcza w Anglji, we Francji oraz w Niemczech. Pisał też o nich „Łowiec Polski". Hodowli kusaków zaniechano głównie dlatego, że się ptaki te podrywają z wielkim trudem, cieknąc bez końca. Hodowlę kusaków zalecić można ze względu na ich niemające równego sobie co do delikatności, mięsa.

Zwierzostan i hodowla zwierzyny w pow. Starogardzkim.

Powiat Strogardzki za czasów przedwojennych znany był z licznego i doborowego zwierzostanu. Miał w kilku kniejach stałe jelenie i daniele, sarn było całe mnóstwo, głuszce tokowały w państw. nadl. Błędno i Osieczno, na polowaniach z naganką podnoszono w jednym dniu od 50 do 200 zajęcy, bażanty były liczniej rozpowszechnione, niż dzisiaj kuropatwy. Przyszedł, niestety, czas zawieruchy wojennej, tego wielkiego kłusownictwa ludzkości, które jak wszędzie tak i w łowiectwie, pozostawiło na długi czas niezabliźnione rany. Najgorszym jednak okazał się czas panowania osławionego „Grenzschutzu" w czasie od rewolucji do przyjęcia Pomorza przez państwo Polskie, w którym owi, przywłaszczający sobie patent „kulturtragerów", rzekomi stróże ładu i porządku, przy pomocy kulomiotów polowali w rządowych lasach na grubą zwierzynę.

Zastraszający był stan zwierzyny w pierwszych dwóch latach po objęciu. Na polowaniach z naganką w państw. nadl. padało 3 — 10 zajęcy, gdzie dawniej podnoszono ponad 50 szt.; nielepiej było na terenach prywatnych. Liczne przedtem bażanty znikły zupełnie z horyzontu. Jeżeli gdzieś przypadkowo który z myśliwych spotkał ostatniego Mohikana, to wiadomość podawano sobie z ust do ust, jakby conajmniej jaki król puszczy się pokazał. Zdawało się, że zwierzyna już nigdy nie przyjdzie do siebie.

Jednakowoż znalazło się szczupłe grono ludzi, którzy widząc zatrważający stan rzeczy, postanowili na terenach własnych, lub przez siebie dzierżawionych, zabrać się do pracy nad podniesieniem zwierzostanu, przy zastosowaniu wszelkich środków hodowlanych, ochronnych i racjonalnego odstrzału.

Jednym z najgorliwszych okazał się p. Przanowski, właściciel Nowej Wsi o obszarze przeszło 1.000 ha, gdzie zwierzostan po objęciu majątku w roku 1923 przedstawiał się bardzo słabo, dzisiaj jest to pierwszy ośrodek w powiecie racjonalnej i owocnej gospodarki łowieckiej. Przedewszystkiem zastosowano tu intesywne tępienie wszelkiego rodzaju szkodników i drapieżników; zaprzestano polowań w latach 1923, 1924 i 1925-tym. Następnie rozpoczęto hodowlę serjo, bażantów, kuropatw i zajęcy. N. p. w przeszłym roku sprowadzono z Krośniewic 60 kur i 8 kogutów bażancich, 40 zajęcy i 20 par kuropatw, oprócz tego sprowadzono 150 jaj bażantów z Anglji i tyleż z Krośniewic. Tego roku wysadzono 70 kur i 6 kogutów bażancich (amer.) a z 350 jaj podsadzonych pod indyczki wychowało się 150 bażantów. Aby jednak zwierzyna w sąsiednich rewirach nie była narażona na niszczenie, wydzierżawił przezorny gospodarz okoliczne tereny łowieckie, a mianowicie: Rokoczyn domena państw. 780 ha; Kotyze, teren włościański 1.100 ha; Dąbrówka, teren gminny 1.250 ha; Kurytyba, majątek prywat. 95 ha, zabezpieczając w ten sposób granice terenu hodowlanego od nieuczciwych lub niepożądanych sąsiadów. Obecny stan bażantów w Nowej Wsi doszedł do 800 sztuk, w 500 morgowym lesie trzyma się 5 rogaczy i blisko 20 kóz, w remizach i na poletkach przechadzają się bażanty, jak za rajskich czasów, główną ich zaś ostoją jest obszerny park, gdzie przeważnie młodzież mająca przybranych rodziców w indykach, żyje sobie za pan brat z wszelkiem ptactwem domowem.

Jest jeszcze kilku zamiłowanych hodowców — myśliwych w naszym powiecie, którzyby mogli podjąć racjonalną gospodarkę łowiecką, lecz przeszkadzają temu nieuregulowane ustawą stosunki łowieckie, o których kilkakrotnie zabierano głos na łamach tego pisma. Przedewszystkiem próżne są wysiłki myśliwego-hodowcy, chcącego prowadzić racjonalną hodowlę, jeżeli okoliczne tereny będą w rękach niszczycieli, zwłaszcza obszary gminne, których nie można wydzierżawić, ponieważ w myśl istniejących przepisów gmina zastrzega sobie, że dzierżawcą może być tylko miejscowy obywatel gminy. Miejmy jednak nadzieję, że ogólny prąd polepszenia stosunków dotrze i do opłakanych stosunków łowieckich, które już od kilku lat oczekują beznadziejnie koniecznej reformy.

J. Żarnowski.

Jeszcze o mrówkach leśnych.

Jako ciekawy przyczynek do poruszonej przez inż. Stanisława Kamockiego w Nr. 13 „Łowca Polskiego" sprawy mrówek leśnych, która wywołała duże zainteresowanie, — przytaczamy inne także głosy omawiające ten przedmiot. A więc w „Przyrodzie i Technice" p. R. K. pisze:

Mrówki, żyjące w naszych lasach, zwłaszcza pospolita w lasach sosnowych mrówka ruda, mają olbrzymie znaczenie, jako policja sanitarna, broniąca las przed masowem rozmnożeniem się owadów szkodliwych. I tak znany badacz życia mrówek Forel przypuszcza, że mieszkańcy jednego gniazda mrówki rudej spożywają dziennie około 100.000 różnych owadów, zatem w ciągu lata (około 100 dni) do 10 miljonów. Podczas ostatniej klęski, spowodowanej przez żer sówki — chojnówki w lasach sosnowych na nizinie niemieckiej, zauważono, że partje lasu, obfitujące w gniazda tej mrówki, zostały przez szkodnika oszczędzone, t. j. mrówki skutecznie zwalczały gąsieniczki tej ćmy.

Ponieważ niektórzy badacze zakwestjonowali dane Forela jako przesadzone, zajął się tą kwestją w ostatnich czasach zoolog niemiecki Erdmann. Na podstawie dokładnych obserwacji doszedł do liczb, przybliżonych do danych Forela. Nadto obliczył, że wśród znoszonych do gniazda przez robotnice owadów, 42 proc. przypadało na szkodniki, 28 proc. na gatunki obojętne, 16 proc. na owady pożyteczne (drapieżne i pasorzytujące na szkodnikach). Reszta, to jest 14 proc., nie dała się dokładnie oznaczyć. Wśród szkodników znoszonych przeważały larwy błonkówek roślinożernych. Mrówki atakują nawet tak twarde chrząszcze, jak ryjkowce, i tak wielkie, jak biegacze. Wiele motyli, jak szkodliwy poprochcetyniak z rodziny miernikowców, pada ofiarą mrówek w chwili wylęgania się z poczwarki, gdyż — jak wiadomo — motyl przez pierwszych kilka minut nie ma jeszcze rozwiniętych skrzydeł i nie może ratować się ucieczką przed napastnikami. Zresztą obserwował także Erdmann napady mrówek na wygrzewające się w słońcu muchy, którym mrówki przedewszystkiem starały się uszkodzić skrzydła.

Natomiast stwierdzono, że mrówki w sadach są względnie szkodliwe. To też ze stanowiska rolniczo-ogrodowego należy jeszcze wiedzieć co następuje:

Mrówki pszczół nie niszczą w znaczeniu ścisłem; jedynie mogą wyjadać miód pszczeli. Nie zjadają także liści z drzew. Jednakowoż mrówki w sadach są szkodnikami, gdyż 1) wyjadają kwiaty drzew, 2) wygryzają dojrzewające owoce, 3) są hodowczyniami mszyc.

Zwalczanie mrówek polega przeważnie na niszczeniu mrowisk. Silne udeptanie wystarcza do zniszczenia małego gniazda, gdy jednak jest większe mrowisko, zalać ukropem, lub wodą z naftą. Można również zakładać na młode drzewka kołnierze z twardego papieru naoliwionego, lub pergaminowego, przywiązanego do drzewa tak, aby dolna część papieru odstawała. Kołnierz taki przypomina swoim wyglądem klosz na lampie. Pod nim podwiązuje się wałek z waty; mrówki wtedy nie mogą przebyć papierowego pierścienia.

Zazwyczaj obecność mrówek wskazuje na obecność mszyc. Mrówki najzupełniej nie szkodzą mszycom, pomimo że ciągle kręcą się wśród nich; przeciwnie, hodują je. Mszyce sadowią się na młodych liściach i pędach, na liściach sadowią się na spodniej stronie, a wysysając je, powodują skręcanie się liścia, oraz marszczenie się górnej jego strony.

Karmiąc się sokami rośliny, wydzielają one woreczkami na odwłoku pewien gatunek miodu, który mrówki ogromnie lubią.

Wiadomości bieżące

Plaga wilków. W powiatach święciańskim i postawskim mieszkańcy wskutek plagi wilków nie mogą wysyłać bydła na pastwiska. Wilki stadami wychodzą na łąki i porywają po kilka sztuk bydła nawet w ciągu dnia. Mieszkańcy zwrócili się do starostów o pomoc.

Warszawski Ogród Zoologiczny. W uzupełnieniu wiadomości o nabyciu nowych okazów podajemy, że dzięki energji kierownika warszawskiego ogrodu zoologicznego, p. Tadeusza Szatkowskiego, który wykorzystał moment przybycia do stolicy cyrku Kludsky'ego, rozporządzającego niezliczoną ilością cennych okazów dzikiej zwierzyny, ogród nasz zyskał kilka poważnych okazów. Oto z funduszu dobrowolnych składek szkół średnich i szkół powszechnych, zarząd ogrodu kupił niedźwiedzia karpackiego za 1.000 zł. Dalej z własnych funduduszów uzbieranych za wejście, zakupiono tygrysa za 5.000 zł. i lwicę za 2.000 zł. Oprócz tego dyrektor cyrku Kludsky ofiarował zupełnie bezinteresownie lwa i 2 małpy. Oprócz powyższych okazów cennych eksponatów, kierownik Szatkowski zakupił dla ogrodu rysia z północnej Ameryki za cenę 600 zł., ostronosa za 400 zł., orła karpackiego za 100 zł. Ogród zoologiczny rozporządza obecnie 246 eksponatami. Szkoda, że cyrk Kludsky'ego nie dostał pozwolenia na zatrzymanie się w Warszawie jeszcze przez 5 dni, gdyż dyr. Kludsky zobowiązał się za to ofiarować ogrodowi zoologicznemu zupełnie bezinteresownie słonia.

Dział ogrodniczy technicznego wydziału magistratu przystąpił do opracowania projektu ogrodu zoologicznego, pod który ma być zajęta część parku nieogrodzonego na Pradze i część szkółek miejskich, przylegających do ul. Ratuszowej. Do robót ziemnych dział ogrodniczy zamierza przystąpić we wrześniu. Ogród zologiczny zajmie 8 hektarów. Narazie wszystko mieści się w dalszym ciągu w Al. Trzeciego Maja. Wobec tego, że magistrat przyznał ogrodowi 50.000 zł., zaczęto już przygotowania w Parku Praskim, dokąd jeszcze w r. b. ogród całkowicie będzie przeniesiony.

Tow. przyjaciół ogrodu zoologicznego. Do rejestru stowarzyszeń i związków wciągnięto Stowarzyszenie p. n. „Pierwsze Towarzystwo przyjaciół ogrodu zoologicznego m. st. Warszawy". Działalność Tow. rozciągać się będzie na całą Rzeczpospolitą polską, z zachowaniem miejscowych przepisów o stowarzyszeniach. Siedzibą Tow. jest Warszawa. Członkiem Tow. może być każdy obywatel Rzeczypospolitej, który wyrazi na piśmie gotowość należenia do Tow., będzie wprowadzony przez dwóch członków Tow. i przyjęty przez zarząd. Członkowie Tow. dzielą się na honorowych, dożywotnich, protektorów, rzeczywistych, popierających i korespondentów.

Walka kłusowników z policją. W majątku pod Pruszkowem inż. Tadeusza Trylskiego, od pewnego czasu dawało się dotkliwie we znaki coraz bardziej wzmagające się kłusownictwo. Właściciel zwrócił się do posterunku policyjnego w Wiktorynie z prośbą o interwencję i pomoc w wytropieniu szkodników. Odkomenderowany na poszukiwania posterunkowy Jan Wilczak wpadł niebawem na ślad kłusowników i zetknął się z nimi na polach dworskich oko w oko. Było ich trzech, jeden z dubeltówką w ręku. Dwaj bez broni rzucili się do ucieczki, uzbrojony kłusownik zaś zajął groźną postawę. Przykładał raz po raz broń do ramienia, policjant jednak przeskakując od stogu do stogu, nacierał coraz bliżej i unikał szczęśliwie strzału. Kłusownik zaczął się cofać. W pewnej chwili pośliznął się i upadł. Posterunkowy Wilczak znalazł się w paru susach przy nim, obezwładnił go i wyrwał mu dubeltówkę. W tym momencie dwaj towarzysze schwytanego zawrócili, by pośpieszyć mu z pomocą. Ale pomoc przybywała po niewczasie. Na polu ukazała się służba dworska, obława zacieśniała coraz węższy pierścień. Kłusowników aresztowano. Są to bracia Smogorzewscy Antoni i Zygmunt oraz Roman Janczek. Wszyscy trzej znani byli oddawna jako kłusownicy. Przewieziono ich do Warszawy i umieszczono w więzieniu przy ul. Dzielnej.

Wypadkowe zabójstwo na polowaniu. Pod Krasnymstawem syn właściciela majątku Borki, p. Jerzy Rzewuski, udał się na polowanie ze strzelcem, Antonim Szpakowskim. W pewnym momencie Szpakowski oddalił się od swego towarzysza i ukrył się za krzakami. Rzewuski, dostrzegłszy ruch w krzakach, wystrzelił, sądząc, iż ukrywa się za nimi zwierzyna. Nieszczęśliwy Szpakowski, raniony śmiertelnie, po 15 minutach życie zakończył.

Wystawa futrzana. Podczas ostatniego konkursu wystaw sklepowych w Warszawie firma „Tytus Kowalski" wystąpiła ze wspaniałą wystawą okienną, gdzie były pythony i lamparty, oraz inne okazy. Okna wystawowe tej firmy nagrodzono drugą nagrodą.

Futra letnie. W czasie obecnego lata panie nosiły częstokroć futra lekkie w tak dużej ilości, jak nigdy dotąd. To też fabrykanci futer rzucili na rynek najfantastyczniejsze imitacje. Oto królik udaje groźnego węża. Jeszcze bardziej perwersyjne imitacje osiąga się na pozbawionej włosia skórce niewinnych jagniątek. Na skórach cieląt i szewrotek (amerykańskie kozy) drukuje się lamparty, tygrysy i pantery. Zbuntowany taką obłudą królik występuje teraz otwarcie pod nazwą „Lapin cotelé" (królik prążkowany). Prześliczne, farbowane na szaro lisy, robiące tak „do twarzy", mają nie być modne. Modne są jedynie lisy naturalne, niesłusznie tak zwane „niebieskie", bo są właściwie brudno-szare, czyli bure. Modne są również wspaniałe lisy srebrne we wszystkich odmianach. Więc: właściwy lis srebrny czyli czarno-biały, lis „krzyżak", mający obok kolorów czarnego i białego trzecią barwę płową i wreszcie lis królewski, czarno-biały z szarą głową i kołnierzem. Najmodniejsze są lisy bez podszewki, zeszyte pod spodem, tak zwane „roulés".

Przestroga przed sianem. Myśliwych, którym niekiedy wypada przespać noc bylegdzie na sianie, — należy przestrzedz przed pewnem niebezpieczeństwem. Oto bowiem w kopicy świeżego siana, jak donoszą pisma niemieckie, znaleziono nieprzytomnego człowieka, który widocznie szukał tutaj schronienia przed nocą. Wszelkie zabiegi lecznicze spełzły na niczem, lekarze stwierdzili śmierć wskutek zatrucia gazem, powstałym z fermentującego, świeżego siana.

Międzynarodowa Federacja Myśliwska obejmuje dotychczas związki myśliwskie następujących 13 państw: Anglji, Ameryki, Belgji, Bułgarji, Czechosłowacji, Finlandji, Francji, Hiszpanji, Holandji, Norwegji, Rumunji, Szwecji oraz Węgier. Federacja propaguje między innemi strzelanie do gołębi i rzutków, do ruchomego jelenia i t. zw. olimpijskie strzelanie.

W związku ze skreśleniem strzelania z programu Igrzysk Olimpijskich, Federacja postanowiła organizować coroczne zawody międzynarodowe, zawody w strzelaniu do rzutków glinianych (pigeons d'argile). Pierwsze zawody międzynarodowe w strzelaniu do biegnącego jelenia będą zorganizowane w Paryżu w roku 1928, równocześnie z zawodami w strzelaniu do rzutków zwyczajnych. Stawać do powyższych konkursów będą mogli jedynie członkowie narodowych związków myśliwskich, z wymienionych 13 państw, których związki centralne należą do Federacji Międzynarodowej.

WZÓR DLA KRONIKI MYŚLIWSKIEJ

WYSZCZEGÓLNIENIE POLOWAŃ							Zwierzyna	Szkodniki	UWAGI
Data	Miejscowość	Starostwo	Teren	Rodzaj polowania	Obszar hekt.	Ilość strzelb			
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10

OBJAŚNIENIE.

Rubr. 1. Data polowań.
„ 2. Nazwa miejscowości: dobra, wieś, puszcza.
„ 3. Starostwo.
„ 4. Teren: własny, dzierżawa, pole, las, błota i t. p.
„ 5. Z naganką, z gończymi, z podjazdu, z wyżłem, na toku, na ciągu, zloty, sady i t. p.
„ 6. Jaka przestrzeń opolowana w hektarach.
„ 7. Ilu myśliwych brało udział w polowaniu.
„ 8. Podzielić na tyle części, ile było gatunków zwierzyny na rozkładzie, u góry wypisać rodzaj; pod kreską — cyfrę zabitych sztuk.
„ 9. Tak samo jak w rubryce 8-ej.

Rubr. 10. Poszczególne, ważniejsze wydarzenia, warunki atmosferyczne.

W rubryce „Szkodników" zamieszczać: wilki, rysie, żbiki, koty, lisy, psy, wydry, kuny, tchórze, łasice, wiewiórki, orły, sokoły, jastrzębie, sroki, wrony, bociany i t. p.

Niedźwiedzia i dzika w rubryce zwierzyny.

Rubryki Nr. 8 i 9 mogą być rozszerzone, zależnie od ilości gatunków zwierza i ptaków.

Uprasza się o niepomijanie drobnej zwierzyny, jak króliki, przepiórki, dubelty, bekasy, bekasiki i t. p.

Centr. Zw. Pol. Stow. Łow. prosi pp. myśliwych o podawanie danych do Kroniki Myśliwskiej podług niniejszego wzoru, co znacznie ułatwi zebranie materjału do statystyki. Prawidłowo zestawiane kroniki zamieszczane będą w „Łowcu Polskim" od 1 lipca.

Rozmaitości.

Hodowla reniferów.

Do Francji sprowadzono z Norwegji stado reniferów, liczące dwanaście sztuk tych zwierząt, z zamiarem zaaklimatyzwania ich w Alpach francuskich i używania jako zwierząt pociągowych, w czasie zimy. Stado, które kosztowało 38.000 franków franc., umieszczono w malowniczem miasteczku górskiem Saint-Pierre de Chartreuse.

Ubicie 6 tygrysów.

Maharadża Benaresu, będący, choć liczy 70 lat skończonych, wciąż jeszcze zawołanym myśliwym, złożył, jak donoszą z Allahabadu do dzienników londyńskich, nowy dowód pewności ręki. Oto, polując w sąsiedztwie swego obozu myśliwskiego pod Syrgują, maharadża powalił celnym strzałem tygrysa, a w 2 dni później napotkawszy pięć tych bestyj krwiożerczych, sam zastrzelił cztery, piąta zaś padła z ręki syna jego, Kumara.

Rekordy myśliwskie.

P. P. Lucy Leslie i Tarlton są słynnymi myśliwymi, znanymi z niechybności swych strzałów. Lucy, powróciwszy z Afryki południowej do Anglji, oświadczył dziennikarzom, że w czasie swej długoletniej karjery myśliwskiej w Afryce zabił 280 lwów, 84 słonie i sto nosorożców. Zdarzyło mu się nawet, że w ciągu trzech tygodni powalił 26 lwów. Ale Tarlton, który swego czasu towarzyszył Rooseveltowi w jego wyprawie myśliwskiej do Afryki wschodniej, poszczycić się może jeszcze piękniejszymi tryumfami myśliwskimi, gdyż zastrzelił o sześć lwów więcej, niż Leslie, nie mówiąc już o słoniach, nosorożcach i t. d. Tylko, że Tarlton już się zestarzał i nie poluje więcej, Leslie zaś wraca do Afryki. Może więc prześcignie Tarltona. Sportsmani angielscy zakładają się już o to.

Zabicie 3 lampartów.

W południowej części Rhodezji (Afryka Południowa) 14-letni Peter Labuchange, syn właściciela fermy, bur, zastrzelił 4-ma kulami trzy lamparty. Peter udał się w towarzystwie służącego murzyna na polowanie na ptaki. Strzelba jego zawierała jedynie trzy kule. Znajdując się już w pewnej odległości od fermy, chłopiec spostrzegł w trawie trzy leopardy. W oka mknieniu wdrapał się na drzewo i strzelił. Kula chybiła. Leopard skoczył ku niemu, lecz druga kula chłopca położyła go trupem. Małemu myśliwemu pozostaje jedna kula. Postanawia dostać się do fermy i zaopatrzyć w amunicję. Szczęśliwie udało mu się to. Powraca z ojcem, a spostrzegłszy na temże miejscu drugiego leoparda, zabija go pierwszym wystrzałem. Następnego poranka po powrocie ze szkoły dzielny chłopiec postanowił na własną rękę zabić trzeciego leoparda. W towarzystwie służącego murzyna udaje się na dalsze poszukiwania. Po kilku godzinach znajduje leoparda i celnym strzałem kładzie go na miejscu.

Odurzająca kula.

Dzienniki amerykańskie donoszą o „pomyśle", na jaki wpadł kpt. B. W. Starris, dowódca wyprawy wysłanej przez Tow. Zoologiczne w Chicago do Indyj, na Borneo i Sumatrę, celem zdobycia okazów dla zoologiczego ogrodu. Zamiast śmiercionośnych kul opatrzył on naboje w przyrządy podobne do szprycek, służących do podskórnych zastrzyków, napełnione odurzającymi płynami. Zwierzę, ugodzone takim pociskiem, zostaje obezwładnione i można jakoby je żywcem wziąć do niewoli.

Bocian śród lwów.

W cyrku Gleicha w Elberfeldzie podczas próby tresury czternastu lwów w wielkiem ogrodzeniu z prętów stalowych, wpadł górą do ogrodzenia oswojony bocian, przechadzający się po cyrku, i klekocąc głośno, rzucił się natychmiast z szeroko rozpostartemi skrzydłami na jednego z lwów. Napadnięty jednak nie myślał wcale o obronie i czmychnął ku swym współbraciom, a odważny bociek podążył za nim i z prawdziwą zaciekłością zaatakował skupione w strachu lwy, zadając im mocne razy dziobem. Pogromca lwów, który w pierwszej chwili chciał ochronić bociana przed dzikiemi bestjami, teraz musiał stanąć w obronie swych pupilów i zapędził ich do klatek.

Pies — gazela.

Na ostatniej wystawie psów w Londynie była grupa psów klapouchów „soluki" z Egiptu. Objaśnienie brzmiało: „Pies - gazela, jeden z najstarożytniejszych rodów, które zostały oswojone przez człowieka. Pochodzi z Egiptu, gdzie był używany przez faraonów jako pies gończy. Wizerunki jego znajdują się w płaskorzeźbie na pomnikach starożytnych władców Egiptu. Ród zachował się w czystości, niesplamiony nigdy mezaljansem".

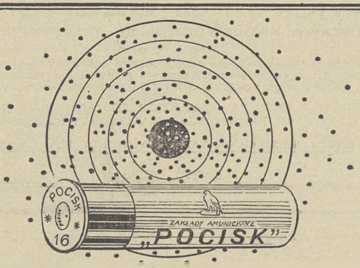
Od siebie dodamy, że psy „soluki" lub „Solougli" są rodzajem chartów, a nie gończych. (Redakcja).

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł 6; za pół roku zł 11, za rok zł. 20. — Za numery rozpoczętego przed zapłaceniem kwartału kalendarzowego, liczymy jak za numery pojedyncze, czyli po 1 zł 20 gr. za numer.

CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 120, pół — 70, 1/4 — 40, 1/8 — 24, 1/16 — 12. Przed tekstem o 50% drożej (Pierwsza strona liczy się bez kliszy tytułowej).

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: **Jan Sztolcman i Juljan Ejsmond.** Wydawca: **Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich**


POCISK
16
ZAKŁADY AMUNICYJNE
„POCISK"